

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

MOMENT

# Eliza Orzeszkowa

## Moment

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843710](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843710)

*Moment:*

### Аннотация

W przydrożnej karczmie prowadzonej przez żydowską rodzinę pojawia się tajemnicza dama. Okolice jest biedna i brzydka, a życie nie jest łatwe. Nieznajoma przywozi ze sobą kawałek innego świata. W zajeździe życie toczy się wokół spraw drobnych. Mendel Szapir i jego żona Ruchla krzątają się po biednym obejściu – zamiatają, gotują i liczą każdy grosz. Nie widać nadziei na jakąkolwiek poprawę bytu. Pojawienie się karety z wielką damą jest wydarzeniem – zawsze to dodatkowy dochód. Kiedy zapadła noc, nagle w tej niegościnniej okolicy pojawia się coś pięknego – śpiew. Tajemnicza nieznajoma okazuje się być wielką śpiewaczką, a jej głos przynosi ulgę i nadzieję. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskiej epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych – w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

# Eliza Orzeszkowa

## Moment

*Janowi hr. Jundziłłowi ze słowami szacunku i  
przyjaźni przesyła  
Autorka.*

Słońce letnie zachodziło; pole, powietrze, niebo, były zupełnie ciche. Cicho od zorzy wieczornej odrywały się i po błękitnem sklepieniu płynęły obłoki złotawe i różane; cicho na wzgórzystem polu kwitły, wśród brunatnych owsów, łubiny ogniste i gryki śnieżnie białe; ciszę powietrza haftowały grubszymi i cieńszymi tonami brzęczenia owadów i świegot ptactwa w dzikich gruszach, na miedzach. Ani najdalszego choćby gwizdania lokomotywy, ani tego turkotu i szumu, który, jak burzę grzmot oddalony, z oddalenia oznajmia wielkie zbiorowisko ludzi; ani nawet na polu pługów i oraczy, bo dzień był świąteczny.

Pusto i cicho.

Oprócz przyrody świeżej, wonnej, ukojonej spokojem pięknego wieczoru, nic.

Szmat ziemi pełen wdzięku, lecz bezludny i drzemiący; zakątek świata głuchy, od miejsc jego hałaśliwych i świetnych bardzo odległy.

Jednak, na polu, biała wśród zbóż brunatnych i żółtych, wiała się między wzgórzami droga, prowadząca... dokąd? Trudno

byłoby zgadnąć, bo mogło się zdawać, że ku jakiemuś chyba skrajowi świata, na którym kończy się życie ludzkie. Ale życie ludzkie buduje sobie często mrowiska zaledwie widzialne i tak podobne do śmietnisk, że zbliżka zobaczyć je trzeba, aby spostrzedz, że są i że napełniają je istoty żyjące.

Do takiego mrowiska wiodła biała droga, wijąca się pośród wzgórz i zbóż. Jak szklanym kloszem czystym i przejrzystym, ciszą pola, powietrza i nieba otoczone, stało tam małe miasteczko, szare, niskie, podobne do śmietniska.

Uliczki ciasne, z niskimi, poczerniałymi domkami, z rzędami okienek, wyglądających jak mętne oczy w oprawie zestarzałej, wrota otwarte na podwórka, wybuchające zaduchem, głosami zwierzęcymi i wrzawą dziecięcą. Środkiem uliczek pasy czarnej grudy; to błoto, ścięte przez upały letnie, a z obu stron jego ścieżki, podobne do drożyn, któremi chadza twarda bieda i szara ciemnota. Gdzieniegdzie, wśród szarzyzny, płot nowy, świecący jaskrawą żółtością, albo brzoza z obwisłymi gałęzmi, wierzba z ramionami powykręcane, grusza rozłożysta. U płotów gnijących lasy dzikiego zielska. Tu i ówdzie rudery, belkami sterczącymi w powietrzu i kominami nagimi przypominając kości, ogołoczone z ciała.

Ludzi mało; kiedy niekiedy zaledwie przechodzień, twardą ścieżką przesuwający się pod płotami i znikający w cuchnącem podwórku. Trochę psów chudych i smutnych, które leżą u podwalin domów, albo wałęsają się od podwórka do podwórka, zaglądną do ruder, szukając żeru. Głosy tylko dzieci i zwierząt,

gdzieniegdzie także ptaków: kur, wróbli, lecz rozmowy nie słyhać żadnej. Moźnaby myśleć, że tu nikt nigdy nie rozmawia. Okienka domów zamknięte; pomimo, że dzień był upalny, a wieczór jest bardzo świeży, wszystkie one są zamknięte. Moźnaby myśleć, że tu nikt nigdy żadnego okna na świat nie otwiera.

Brudno i ciasno, smrodliwie i bezludnie.

Nad szlakami czarnej grudy zdają się przeciągać powietrzem i na sterczących ruderach zawieszają się chude widma snów leniwych i niezdrowych. Tylko nad omszałymi dachami wzbijają się ku niebu wstęgi dymów przezroczystych, tak, jak płynące po niebie obłoki, różanych i pozłacanych. Te lotne wstęgi wziąć można za westchnienia, posyłane przez dusze ludzkie ku wysokościom, z nędznych legowisk, na których tarzają się ciała. Tylko u skraju uliczek, tuż przy polu, trochę domków małych, lecz nieco nowszych, świeższych, weselszych niż tamte. Z za szyb drobnych uśmiechają się one barwami kwitnących pelargonii, a z za płotów jaskrawemi twarzami malw i georginii.

Tu gęściej rosną drzewa, częściej na podwórkach gwarzą głosy ludzkie, psy są żwawsze i mniej wychudłe, lecz w jednym miejscu dzieje się coś ponurego. Okna jednego z domków, przy niezgasłym jeszcze świetle dziennem, błyskają płomykami palących się świec i wychodzą z za nich odgłosy pieśni basowych i głębokich. Te palące się świece – to gromnice, a te pieśni – modlitwy, wyśpiewywane nad umarłymi. Słyhać też tam płacze kobiece i w ogródku widać człowieka barczystego, który

siedzi na ławce z wielką twarzą tak zmartwiałą, że ma pozór rzeźby, wykutej w szarym kamieniu. Ściśnięte pięści, także jak kamienie, leżą mu na kolanach.

Tu, pomiędzy malwy i georginie, w wonnych oddechach poblizkiego pola, zleciała śmierć.

Wszystkie uliczki, jak ciemne strumienie do mętnego stawu, zbiegały się do przestrzeni okrągłej i dość rozległej, otoczonej domami nieco większymi, nowszymi, niż tamte, usiłującymi też naśladować dworki wiejskie: posiadały małe ganki na słupkach, drzewa u ganków i kwiaty u okien. Tylko że drzewa i kwiaty miały pozór zwiędły, a na gankach leżały słomy zmięte, szmaty papierów i płócien podartych, drzazgi, niedopałki, różne odpadki bez kształtu i nazwy, z izb, z wozów podróżnych, z pudeł kupieckich, z rąk przechodniów tu wyrzucane. Nietylko tu, bo zaścieniały chropowatą powierzchnię rynku wszędzie, kędy tylko na drodze nie stawały im kałuże. Bo nadaremnie upalny lipiec, przechodząc świat, wysuszał wszystkie wody: te nie ustąpiły przed jego słoneczną pochodnią i stały bez ruchu, bez połysku, podobne do szczelnie zamkniętych i mętnych okien domostw, które otaczały rynek. Zato ganki tych domostw były pełne rozmów, targów, sprzeczek, postaci ludzkich, niezgrabnie ubranych, grubych, szarych, które przed końcem dnia usiłowały kończyć grube i szare sprawy codzienne.

Znać było, że w tem miejscu puls miasteczka uderzał najsilniej, i to także, że roznosił po organizmie krew zgęstniałą i niezdrową. Jak na uliczkach powietrzem wlokły się i na ruderach

się zawieszwały sny leniwe, tak pomiędzy tymi ludźmi, na rynku, czuć było uwijanie się skrętnych, wykrzywionych, gadatliwych widm biedy, zarobku, chciwości i zysku.

Pośrodku zaś rynku było miejsce zupełnie do wszystkiego, co je otaczało, niepodobne, jedyne: kościół niewielki, bardzo stary, od starości głęboko poczerniały, z wązkimi oknami, w których zorza wieczorna zapalała płomyki rubinowe, ze szmaragdową zielenią trawnika i czystą białością ścieżek, z przezroczystem ogrodzeniem, nad którym odwieczne lipy rozwieszały gałęzie szerokie i silne. Tu panowała czystość niepokalana, rozlewał się spokój taki, jak na przestronnych polach, łagodnie szemrały liście lip, od ziemi biły wonie ziół, kwitnących w trawach. Tam zaś, gdzie rozstępowały się nieco stare lipy, stał wyosobniony, całą przestrzenią trawnika z kościołem rozdzielony, bardzo wysoki krzyż. Bardzo wysoki a cienki, linią delikatną i przezystą przebijał powietrze, pełne kurzawy i wrzawy, ramiona rozpościerając na tle różanych światła, które z zachodu płynęły po błękiecie. Wzrok, dążący ku szczytowi jego, wznosić się musiał bardzo wysoko.

Jedyny to był wśród powszechnego pełzania wysoki wzlot. Jedyny tu także dom ze ścianami błękitnymi i ze świeżymi kwiatami w ogrodzie, w pobliżu kościoła i krzyża, rozlegał się z za otwartych okien głosami dzieci, które mówiły o czymś, czegoś uczyły się i nagle zaczęły mówić chórem. W powietrzu rozległy się i ze szczytu wieży kościelnej rozlały się po miasteczku dźwięki dzwonu łagodne, czyste, wołające. Za oknami plebanii,

razem z muzyką dzwonu, głosy dziecinne chórem mówiły:

– Anioł Pański zwiastował...

Było to w tej chwili jedyne tu miejsce, w którym usta ludzkie wspominały o Anielskich Zwiastowaniach...

Dzwon kościelny umilkł, natomiast, w oddaleniu, dało się słyszeć inne dzwonicie. Przybywało z pól szerokich i wpadało we wrzawę rynku, zrazu tak niewyraźne, że można je było wziąć za jęk przestrzeni lub za coś takiego, co z przestrzeni nadlatywało jęcząc. Potem stawało się coraz bliższym, wyraźniejszym; parę osób na rynku słuchać zaczęło. Dzwonek pocztowy! Ktoś do miasteczka przybywa pocztą! Jakoż, niebawem, na rynku ukazała się lekka karetka, w cztery konie zaprzężona. Na koźle, obok pocztyliona z blachą u piersi, siedział lokaj w liberyi.

Wielkie wrażenie na rynku! Kto to? po co? Czy się zatrzyma? Gdzie się zatrzyma?

Mendel Szapir i Chaim Cygler, właściciele dwu jedynych tu domów zajezdnych, przez mętne szyby ścigali karetkę oczyma niespokojnymi. Konkurencyja i przytem – kareta, zjawisko bardzo rzadkie! Szapir uśmiechnął się, bo zobaczył na koźle pocztyliona znajomego. Ten pewnie gościa tu przywiezie.

Nie omylił się; karetka przed jego domostwem stanęła. Lokaj zeskoczył z koźła i otworzył drzwiczki, w których ukazała się kobieta z powierzchownością bardzo wytworną.

Czy była piękną? trudno było odrazu rozpoznać, tak wydawała się zmęczoną i cierpiącą. Wśród twarzy bladej, z cerą bardzo delikatną, wielkie oczy z różową u powiek obwódka

zdawały się patrzeć nie widząc, pod zsuniętymi brwiami ponure i przygasłe. Bardzo powoli wstępowała na kilka schodów ganku, zlekka szeleszcząc miękką suknią, za którą z przykrym chrzęstem zaczęły się ciągnąć uschłe słomy i zmięte szmaty papieru. Ruchem zupełnie machinalnym podniosła nieco suknię i obejrzała się za siebie, przyczem wielki brylant w kolczyku rzucił snop tęczyowych promieni.

Szczupły i zwinny Mendel Szapir, z twarzą nerwową, z cicha zapytywał pocztyliona:

– Kto to?

Z kozła odpowiedź brzmiała:

– Nie wiem. Zdaleka jedzie!

– A dlaczego nie zajechaliście na pocztę?

– Bo będzie nocować.

Wtedy właściciel zajazdu zwrócił się do stojącej na ganku żony:

– Ruchla! Będzie nocować!

A Ruchla z kolei, oglądając się na kogoś będącego w sieni, zawołała:

– Gitla! pokój gościnny zamiataj!

Rozkaz szybko spełniono, bo przybyłą spotkała w sieni chmura kurzawy, wznosząca się z pod wielkiej miotły, energicznie poruszanej przez dziewczynę niedoroślą, chudą, śniadą, w nędznej odzieży, z ogromną kosą czarną na pochylonych plecach. Miotła, z przeraźliwym szelestem skrobiąc grubą podłogę, podnosiła kurzawę coraz gęstsza, krztusząca,

ludzie wyglądali wśród niej, jak niewyraźne widma. Jedno z tych widm, ze słodkim uśmiechem w głosie, przemówiło:

– Niech jasna pani posiedzi sobie na ganku, nim pokój wymiotą. Pogoda taka piękna!

Drugie odpowiedziało:

– Proszę pozwolić mi wejść. Niech pokój zostanie, jak jest. Wszystko mi jedno. Z samego brzmienia głosu można było odgadnąć, że istotnie wszystko jej było jedno. Szła wprost w chmurę kurzawy, krztusząc się nią, lecz jej nie widząc.

Ruchla zawołała:

– Gitla! przestań zamiatać!

Wielka miotła upadła na podłogę; Gitla stanęła u drzwi gościnnego pokoju, jakby plecami do ściany przyklejona. Biedna, chuda, śniada, w nędznej odzieży, miała jednak dwie pyszne ozdoby: wspaniałe włosy krucze i oczy bardzo piękne, z czarnymi jak noc źrenicami na błękitnych białkach. Były też one, te oczy, lękliwe i w głębi niezmiernie smutne. Wpatrywała się niemi w nieznaną, która w żółtej mgłę nie zupełnie jeszcze opadłej kurzawy ściągała z ręki rękawiczkę. Gdy ją ściągnęła, Gitla zaszepotała:

– Aj, aj!

Ruchla, stojąca w drzwiach otwartych, powtórzyła:

– Aj!

Biała, szczupła, bardzo zgrabna ręka nieznaną, podnosząc się ku włosom, jak zielonym płomykiem błysnęła szmaragdem pierścionka.

– Może pani potrzebuje czego? – z najśłodszym w świecie uśmiechem zapytała Ruchla.

– Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Ruchla z eleganckim ukłonem rzekła jeszcze:

– Może pani zaśnie troszkę. Zdaje się, że pani bardzo zmęczona.

– Nie potrzebuję niczego – powtórzyła nieznajoma.

Ruchla wysunęła się z pokoju, ale Gitla pozostała jeszcze. Jej czarne jak noc i jak ciężka służba zahukane oczy tkwiły ciągle w nieznajomej. Jakby ją oczarowało i do miejsca przykuło to zjawisko. Tak różne, jakby na różnych glebach zrodzone, dwie te istoty miały przecież jedno podobieństwo: gardła ściśnięte w srogich rękach losu. Obie były w różne sposoby, ale niezmiernie smutne. Po chwili z koralowych ust Gitli wyszedł chrapliwy, szorstki dźwięk:

– Może samowar przynieść?

Przybyła odpowiedziała:

– Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Zdjęła przytem kapelusz, z pod którego rozsypał się po czole i plecach deszcz bladej złotych włosów.

Drzwi zamknęły się z cicha za Gitlą, opuszczając pokój. W sieni Mendel Szapir zatrzymywał przechodzącego lokaja zapytaniem:

– Kto ona taka?

Lokaj wymówił nazwisko, na którego dźwięk kilka stolic świata odpowiedziałyby oklaskami i śpiesznym zrywaniem

laurów na wieńce. Lecz Mendel Szapir słyszał je pierwszy raz w życiu i zapytywał dalej:

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.